

wobec panny, względem której ma się poważne zamiary... Iza słusznie mogłaby się obrazić zbytnim pospiewaniem...

Pani Masławska była przekonana. Przeszło jej jednak przez myśl, że Iza nie obraziłaby się i, że Konrad zrobiłby może dobrze, gdyby mniej zważał na konwenanse i zasady dobrego wychowania.

ROZDZIAŁ XIV.

Spokojnie i wygodnie przespana noc zatarła na twarzy Jozi ślady niewywczaśu i znużenia.

Pozostała bladeść, która przy matowo białej cerze i melancholijnej dzisiaj spojrzeń przeszłych turkusowych oczu, nadawała urodzie Maliniewiczówny specjalny urok i czyniła ją nawet więcej niż zwykle „interesującą”.

To też, pomimo bardzo skromnego ubrania, Józia zwracała na siebie ogólną uwagę, kiedy obok doktorowej Rzęśniewskiej szła główną ulicą Zakopanego, wracając z sanatorium od Zarnickiego. Mężczyźni oglądali się za nią, ten i ów przystawał nawet, a prawdopodobnie niejeden usiłowałby spojrzeć bliżej w piękne oczy, gdyby nie surowa, groźna niemal mina doktorowej.

Rzęśniewska wzięła bardzo poważnie swoją rolę opiekunki i postanowiła ratować tak lekkomyślnie nadszarpniętą opinię Jozi.

To też oświadczyła dzisiaj, że nie pozwoli samej iść do Zarnickiego, ale będzie jej towarzyszyła.

Józia nie protestowała, przeciwnie, z serdeczną wdzięcznością przyjęła propozycję swojej nowej opiekunki:

— Jaka pani dobra, że pani się tak o mnie troszczy!

— Trudno, jeżeli pani nie ma rozsądku, ktoś musi mieć go za panią.

Rzęśniewska rozumowała, że jej towarzystwo, mężatki szanowanej i nieposzlakowanej, będzie tarczą ochronną dla nierozważnej panienki i zamknie usta nazbyt gorliwym plotkarzom.

Dlatego wybrała drogę przez Krupówki, aby w czasie największego ruchu na zakopiańskim „deptaku” pokazać się z Józją.

— Popatrz! — odezwał się zupełnie głośno jakiś wylegantowany, naperfumowany młodzieńczyk — Nie spodziewałem się w tej marnej dziurze zobaczyć takiej piękności!... Ależ, to istny model „american beauty”!

— Wcale nie żadna „american beauty” — protestował towarzysz — to poprostu po polsku cudziwczynka!

Mówili tak głośno i tak natarczywie spoglądali na Józję, że nie można było ani nie słyszeć, ani też pomylić się, do kogo odnosiły się te słowa.

W Józji drgnęła zadowolona próżność. Wprawdzie nie myślała teraz wcale o tem, by kokietować kogośkolwiek, jednak ten bezceremonialny hołd, oddany jej urodzie, sprawił jej przyjemność.

Na usta dziewczyny wypłynął leciutki uśmiech, nie podniosła wszakże powiek i nie spojrzała w stronę młodzieńców.

Doktorowa natomiast była oburzona. Odwróciła głowę i spiorunowała młodych elegantów takim wzrokiem, że cofnęli się spłoszeni, mrużąc coś z wyraźnym niezadowoleniem.

Gdyby pani Rzęśniewska zechciała silniej wytężyć słuch, to byłaby może posłyszła coś o „starym smoku” i „cerberze”.

Nie tylko jednak mężczyźni zwracali uwagę na Józję, patrzyli na nią także i kobiety, z większym nawet zaciekawieniem, chociaż innego rodzaju.

Chyż w locie, wszechwiedząca pani plotka rozniosła po Zakopanem wiadomość o pannie, która przyjechała do Zarnickiego, przyczem pewne szczegóły uległy specyficznemu zabarwieniu, a przybyły inne, które z rzeczywistością nie miały nic wspólnego.

W Zakopanem, jak zwykle w każdej miejscowości, gdzie gromadzą się ludzie, mający dużo wolnego czasu i żądni wrażeń — nowa sensacja znalazła grunt podatny i szeroki posłuch.

Starsze i młodsze panie i panny, które miały Józję, spoglądały na nią to ze zdziwieniem, to z politowaniem lub wzgardą. Na niektórych twarzach, nacechowanych wyrazem dobroci, znać było współczucie.

Jakaś młodzieńka blondyneczka, podążająca drobnym krokiem obok surowej, poważnej mamy, wpatrzyła się w Józję z nieklamany zachwytem.

— Mamo, jaka śliczna!... — zawołała prawie głośno.

— Cicho bądź, Niusiu! — skarciła ją matka — Nie wypada, żebyś się za tą panną oglądała!...

— Ależ dlaczego, mamusi?.. Przecież pani dokto-

rowa z nią idzie, a ta panienka to doprawdy taka cudna...

— Jesteś nieznośna, Niusiu!... Masz szesnaście lat, a zachowujesz się, jak źle wychowany dzieciak...

Blondyneczka umilkła z nadąsaną trochę miną. Józia szła w ogniu tych spojrzeń, spokojna i smutnie zamyślona. Nie przeszło jej to przez myśl, że przechodzące panie tak bardzo się jej ładną, ale skromną osobą interesują.

Daleko więcej uwagi, niż na przechodniów, zwracała na roztaczającą się przed nią czarowną w blasku jesiennego słońca panoramę Tatr.

Nagle drgnęła i podniosła oczy. Spotkała się ze wzrokiem wysokiej, bardzo chudej, złotowłosej panny, ubranej w wykwinny, jasny kostium angielski.

W szarych, zwykle przygasłych, chłodnych źrenicach, żarzył się płomień nienawiści.

Panna Iza Masławska, mijając Józję, otarła się prawie o nią i spojrzała jej w twarz w taki sposób, że Maliniewiczównie zdało się, iż ją ktoś biczem uderzył.

Zrozumiała, że ta nieznana jej kobieta nienawidzi ją i, zdumiona, zadała sobie pytanie: za co? dlaczego?

— Kto jest ta pani w angielskim kostymie, co przeszła teraz obok nas?

— To jest panna Iza Masławska.

— Pierwszy raz słyszę to nazwisko i nie widziałam nigdy tej panny. Czego ona może chcieć odemnie? Widziała pani, jak się na mnie popatrzyła?... Aż mnie dreszcz przeszedł...

— Widziałam.

— Tak, jakby mnie nie wiedzieć jak nienawidziła... Ale, za co?... Przecież jej nic złego nie zrobiłam, ani zrobić nie mogłam...

— Czasem można komuś zrobić przykrość, albo wyrządzić krzywdę bezwiednie!

— Kiedy ja tej pani nie znam!

Doktorowa nic nie odpowiedziała.

— W tem coś musi jednak być... Bez powodu nikt się tak nie patrzy... I pani wie, co to jest!... O! Ja to pani z oczu czytam!

— Nie będę zaprzeczała, panno Józju... Istotnie wiem. Pani i takby się tego musiała dowiedzieć, a lepiej, że odemnie, niż od kogo innego... Otóż, panna Masławska uchodziła tutaj w Zakopanem za narzeczoną Konrada Zarnickiego... Zdaje się, że jest w nim bardzo zakochana...

— Aaa!...

Józia przycięła zębami wargę. Zapanowała chwila dłuższego milczenia.

— Czy pani Zarnicka pragnęła tego małżeństwa?

— Ależ tak! Naturalnie... To ona usilnie kojarzyła tę parę, jak się okazuje, wbrew woli i sercu syna.

— A czy ta panna Iza... bogata?

— Bardzo nawet. Pochodzi przytem z rodziny szeroko spokrewnionej z arystokratycznymi domami. Jednym słowem, świetna pod względem materyalnym i towarzyskim partya.

Ostry ból przeszył serce Józji. Ona przecież nie była świetną, nie była żadną „partyą”. Czyż miała prawo stawać na drodze Konrada?

Możeby on sam później żałował.

— Czy... czy Konrad oświadczył się pannie Masławskiej?

— Tego nie wiem. Chyba nie, bo przecież nie byłby w takim razie pisał do pani.

Józia nie przekonał ten argument. Pomimo miłości dla Konrada, nie miała wcale zaufania do siły i stałości jego charakteru.

— Ona nie ładna! — szepnęła, jakby chcąc się pocieszyć.

— No! To zależy od gustu. Elegancka, dystygowana... W każdym razie nie tak ładna, jak pani — uśmiechnęła się doktorowa — to też nie ona zdobyła serce pana Konrada.

— I pani powiada, że... ona go kocha?

— Podobno.

Jasne oczy Józji pociemniały jakoś dziwnie.

— — — — —

Naprzeciw pani Rzęśniewskiej wybiegła jej córka.

— Mamusi, mamusi! Przyjechała jakaś pani do panny Maliniewicz!

Doktorowa zdziwiła się, a Józia zadrżała.

— Co? Jaka pani?

— Taka młoda... bardzo ładna... przyjemna... ślicznie ubrana... Zaprowadziłam ją do jadalni i prosiłam, żeby poczekała. — trzepotała jednym tchem dziewczynka.

Józia, wyprzedzając doktorową, wbiegła pierwsza do pokoju.

— Anielka!

— Józka! Józka! Szalone dziecko!... Coś ty zrobiła, dziewczyno!...

Na widok Józji przysnęło gniewne oburzenie Walczakowej, rozplynęło się w ciepłej fali serdecznego współczucia.

Anielka wyciągnęła do przyjaciółki ramiona. Józia jednak nie w objęcia jej, ale do rąk przypadła i gwałtownie, gorączkowo całować je zaczęła.

— Oh! Ty dobra!... najlepsza!... złota, jedyna, najdroższa!... Tyś dla mnie przyjechała!... Nie dbałaś o swoje zdrowie, nie myślałaś o zmęczeniu, a ja!... Jestem podła, zła, głupia!... Nie warta takiej dobroci, takiej przyjaźni!...

— Józju! Józju! Co ty pleciesz!... Przestań, dziecko!... — broniła się Anielka, wyrwując ręce, które Józia okrywała pocałunkami — Uspokój się... Pomówimy rozsądnie...

— Przedewszystkiem przedstaw mnie pani doktorowej! — dodała, spostrzegając, że pani domu od dłuższej chwili stoi, jako niemy świadek tego niezwykłego powitania.

— Panna Józia zanadto wzruszona — uśmiechnęła się doktorowa — przedstawię się zatem sama... Jestem Rzęśniewska...

— Walczakowa... Doprawdy nie wiem, jak mam pani podziękować za łaskawą opiekę nad moją nierozważną przyjaciółką, a zarazem pupilką...

— No! Pupilka nabawiła panią trochę kłopotu i strachu napędziła...

Anielka mimowolnie westchnęła ciężko.

— Tak! Ja nie jestem godna, żeby mnie święta ziemia nosiła!... — zawołała Józia z taką tragiczną miną, że Rzęśniewska i Walczakowa nie mogły powstrzymać uśmiechów.

— O! Józju, jaką ty masz skłonność do przesady!... Zawsze wpadasz w krąćliwość!... Oskarżać się, wymyślać sobie, to umiesz, ale zapanować nad sobą, to się nie chce...

— Anielko! Jedyna moja!... Wiem, co mi powiedzieć możesz, ale ja musiałam!... I widzisz, pomimo wszystko nie żałuję tego, co zrobiłam!... Serce mi pęka, kiedy pomyślę, jak ciebie obraziłam i rozgniewałam!... Żal mi kogoś innego, a jednak nie żałuję!...

— Pomówimy o tem, a teraz podziękuj pani doktorowej za gościnę i opiekę i chodź ze mną...

— Gdzie pani zamieszkała? — zapytała pani Rzęśniewska.

— W pensjonacie mojej kuzynki, pani Skarszewskiej... Jeszcze raz serdecznie dziękuję pani... Pójdziemy, Józju... Musisz się przedewszystkiem przebrać... Przywiozłam trochę twoich rzeczy... Ta sukienka domowa za krótka, poplamiona, wytarta... Jak stała, tak pojechała!... — zwróciła się do Rzęśniewskiej — Nie wzięła nic ze sobą...

— Co za szczęście, że ja pani tak prędko znalazłam!...

— Prawda! — zawołała nagle Józia — Skąd ty się dowiedziałas, że ja tutaj jestem, u państwa Rzęśniewskich?

— O! To nie było nic trudnego... Zakopane nie takie znów wielkie, a o tobie, niestety, szeroko już tutaj mówią!...

Józia splonęła rumieńcem przykrości i spuściła oczy. Doktorowa pokrywała głowę z ubolewaniem.

Kiedy Anielka z Józją wychodziły, Rzęśniewska szepnęła młodej kobiecie do ucha:

— Niechże się pani bardzo na nią nie gniewa... Już i ja jej powi działam porządne kazanie, a przytem miała ona skądinąd za swoją!... Gdyby nie mój mąż, strach pomyśleć, co by się stać mogło!...

— — — — —

Kiedy znalazły się w zacisznym ciepłym, czystym pokoju pensjonatu, Anielka zdęła kanelusz i okrycie.

— Czemu się nie rozbierasz, Józju? — zwróciła się do przyjaciółki, która stała bez ruchu.

Walczakowa wyciągnęła rękę i zesunęła z włosów Józji jej zieloną czapeczkę.

Ta drobniarzowa przysługa, ten ciepły, miękki gest, dopełniły miary wzruszenia dziewczyny.

Z głośnym szlochom rzuciła się do kolan Anielki i głowę do jej sukni przytuliła.

— Przebac mi! Daru! Nie potępiaj!... Nie odpychaj!... Nie odbieraj swojej przyjaźni!...

— Józka! Znowu waryujesz!... Ty niepoprawna!... No, wstańże, wstań, bo, doprawdy, dopiero teraz się pogniewam!... — mówiła Anielka, podnosząc Józję i sadzając na kanapce.

— Więc nie pogniewałaś się na mnie?... Więc mnie kochasz jeszcze?!

(Ciąg dalszy nastąpi)